Zeszyt 3. Rok I.



Lwów 14. Lutego 1886. **Tygodnik belletrystyczny.** Wychodzi co niedzielę.

Przedpłata wynosi:
we Lwowie rocznie zł. 7·40 — półrocznie zł. 3·70 — kwartalnie zł. 1·85.— Z przesyłką pocztową rocznie 8 zł. półrocznie 4 zł. — kwartalnie 2 złr. Za granicą 16 marek.

Adres administracji:
Lwów, ulica Jagiellońska l. 16.
(Kantor „Drukarni Polskiej").

Redaktor i wydawca STANISŁAW MANIECKI.

MARZNĄCE FALE.

POWIEŚĆ

przez WALEREGO PRZYBOROWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Wyrzekłszy to, ruszył ku drzwiom. Tu zatrzymał się, odwrócił, spojrzał na siostrę, w rękach której druty z szaloną prędkością migały i rzekł łagodniejszym tonem:

— Jestem pewny Joanno, że pokochasz Minę, że zastanowiwszy się, uznasz słuszność mego postępowania, że nakoniec nie będziesz chciała bezpożytecznym uporem zatruwać mi tej radości, jaką to biedne dziecię w dom mój wniesie.

Wyrzekłszy to, wyszedł.

Joanna przez długi czas siedziała nieruchomie i poważnie w głębokiem milczeniu przy stole. Twarz jej surowa miała zawsze ten nieubłagany, kamienny wyraz, tylko od czasu do czasu wargi jej lekko drżały, a druty od pończochy z szybkością przewijały się w jej rękach. Nakoniec powstała, zadzwoniła i do wchodzącej starej służącej rzekła:

— Jutro rano oporządzisz i okurzysz zielony pokoik. Trzeba tam dobrze w piecu napalić, podłogę wymyć i zafroterować. Do pomocy najmiesz sobie jaką kobietę. Możesz odejść, Katarzyno.

I znów była cisza w dużej, ciemnej nieco izbie. Zegar tylko wydzwaniał godziny, a druty z coraz większą gwałtownością migały w rękach Joanny.

III.

Zaremba wyszedłszy od Millera, siadł do niewielkiego czekającego nań powoziku, zaprzężonego jednym koniem i na zapytanie woźnicy: dokąd ma jechać? powstał nieco, obejrzał się dokoła i rzekł przytłumionym trochę głosem:

— Jedź Michale na... ulicę...

Michał ruszył ramionami jak gdyby litował się nad tego rodzaju rozkazem i zaciął konia. Zaremba włoczył się w głąb powoziku i jego smutne, zadumane oczy błądziły bezmyślnie po domach i ludziach, przebiegających po ulicy i oświetlonych tym smutnym, melancholijnym blaskiem, jaki wytwarza u nas zmrok wieczorny. Latarnie już były zapalone i światło ich żółte i czerwonawe, dziwny, uderzający kontrast tworzyło z tym szarym, zielonawym mrokiem umierającego dnia zimowego. Niebo było zachmurzone, tylko na zachodzie błyszczał biały pas i od niego to szły te srebrne blaski na ziemię. Od latarń i od tego światła, wielkie, mocne cienie padały od wszystkich przedmiotów, nadając całości i tak już dość smutnej, jeszcze smutniejszy charakter. Dzień zimowy konał i posępność tej chwili rozlana była w całej przyrodzie. Przechodniów już nie można było rozpoznać. Czarne ich sylwetki rysowały się tylko wyraźnie na osrebrzonych ścianach domów, lub też w pobliżu latarń

twarze ich przybierały niezdrową barwę pomarańczową. Silne cienie zdwajały ponurość obrazu i wytwarzały złudzenie, jak gdyby wszystkie domy i wszystkie wieże miasta były dwa razy większe niż zwykle. Miasto miało wygląd olbrzyma, drzemiącego w zmroku, a przyspieszony ruch wieczorny zdawał się być tajemniczem mruczeniem lwa.

Patrząc na to, na ten ruch niezmiernie ożywiony miasta w wieczornej godzinie, przypominały się Zarembie słowa Millera o marznących wzburzonych falach szwedzkiego jeziora. Jak tam, tak i tu, niedawno szalejące fale społeczne, ścięte nagle mrozem, skamieniały w wewnętrznej rozterce i burzy, i patrzą na świat swemi spiętrzonemi łonami i szklistemi bezmyślnemi oczami. Wody szwedzkiego jeziora wstrzymał w burzy zimny podmuch wiatru północnego, wody społeczne, układają się do martwego snu, w uścisku gonitwy za groszem i ubiegania się za użyciem. Społeczeństwo miało charakter chorego, znużonego chorobą, pragnącego spokoju i myślącego tylko, jak odzyskiwane powoli życie przepędzić wesoło i bez troski. Wszystkie dawne uczucia, które wywołały tyle olbrzymich burz i zawieruch, gasły własnym wysiłkiem wyczerpane i niedoprowadzając do żadnych rezultatów, rzucone zostały na bruk jak bezpożyteczne rupiecie. Po co się męczyć napróżno, po co wysilać dla nieziszczonych marzeń, kiedy życie przedstawia tyle uroków i tyle rozkoszy!

Powóz toczył się powoli i z łoskotem po bruku. Zaremba wciśnięty w kąt marzył. Od czasu do czasu przez szyby powozu wpadały nagle purpurowe blaski latarń ulicznych, oświetlały błyskawicznie ciemne wnętrze i zadumaną melancholijną twarz Zaremby. Niekiedy znowu w ciszę tej zadumy, której tłem był jednostajny szmer życia miejskiego, wkradał się głos kataryaki, której właściciel stojąc na ulicy w kapeluszu bandyckim na głowie, z okiem wpatrzonem w jakieś okno, wygrywał sentymentalnego walca, lub ulubioną aryjkę z najmodniejszej opery.

Powóz toczył się, toczył, aż w końcu stanął. Zaremba szybko znalazł się na bruku, obejrzał dokoła trwożliwie i wbiegł w bramę dużego domu. Z głową wtuloną w ramiona, z wzrokiem rzucanym nagle i ukośnie, przeszedł sień, jak ten co się czegoś boi i stanął na maleńkiem, mrocznem i dusznem nieco podwórku. Podwórko to otaczały dokoła wysokie, trzypiętrowe kamienice i pozwalały widzieć tylko szmatę nieba zimowego, czarnego i powleczonego chmurami. Na ulicach zapadała dopiero noc, a tu na tem podwórku było już zupełnie ciemno i czarno.

Z okien tylko dokoła, wyglądających jak czeluście piekielne, padały na bruk lub ściany przeciwległe krwawe promienie świateł i ognisk, i tłukąc się z ciemnościami nocy, bladły, bladły, aż gasły gdzieś na cuchnącym bruku. Powietrze bowiem było tu okropne, pełne najróżnorodniejszych wyziewów i zapachów, pomięszanych z sobą w chaotycznym nieładzie i tworzących jakąś woń ogólną, niedającą się określić, ale dającą się uczuć. Zima nawet nie mogła oczyścić zaduchu panującego w tem wąskiem i brudnem podwórku. Pod jedną ze ścian stała beczka z gnijącą kapustą i zarażała dokoła powietrze przez rynsztok, przeprowadzony środkiem podwórza, ciekła jakaś ciecz mętna i duszącym odorem ziejąca. Coś równie smutnego, ponurego i okropnego jak to podwórze, to zbiorowisko śmieci i brudu trudno sobie wyobrazić. W ciasnocie tej z okien patrzących na siebie i oddzielonych zaledwie cztero- lub pięcio-łokciową odległością, na podwórzu panował gwar i szmer życia codziennego. Owdzie gdzieś wysoko, na trzeciem piętrze, pod samem niebem już, rozlegał się śpiew jakiegoś próbującego swych sił barytona, kaleczącego niemiłosiernie ograną i ośpiewaną arję:

„Marto! Marto! tyś zniknęła
W smutku zostawiłaś mnie!“

Owdzie, niżej nieco, ktoś na fortepianie wygrywał gamy z nużącą jednostajnością i niezmęczeniem; tam w kuchni siekano mięso na kolację, a tu kłóciły się dwie służące o „kawalira.“ Wrzało tu życie ze wszystkiemi jego codziennemi, brzydkiemi i pospolitemi stronami. Nic nie przemawiało z tych wysokich, na żółto pomalowanych murów, z tego śmiecia, brudu i zapachów, do wyobraźni, do serca; nic nie mówiło, że życie ludzkie ma przecież swoje piękne, swoje jasne i poetyczne strony.

Zaremba stanąwszy na tem podwórzu, podniósł głowę do góry i wpatrzył się w okna trzeciego piętra. Cztery z nich były jasno oświetlone i zasłonięte białemi firankami. Westchnął głęboko; zawahał się chwilę i wbiegł do drzwi, będących naprzeciw bramy. Po wąskich schodach, nieporządnie utrzymanych i źle oświetlonych szkaradną, niemiłosiernie kopcącą lampką, wdrapał się trochę zmęczony na trzecie piętro. Tu przed drzwiami, na których przylepiona była duża karta brudnego papieru z drukowanym napisem „Iza“, zatrzymał się, wsparł na balustradzie i odpoczywał.

Z pewnem wahaniem się i nieśmiałością otworzył lekko drzwi i wszedł do małej izby, przedzielonej przepierzeniem drewnianem na dwie połowy i pełniącej w skutek tego dwie funkcje: przedpokoju i kuchni. Przedpokój ten jednak był zajęty. Zagradzała drogę deska, wsparta jednym końcem na poręczy krzesła, drugim na oknie. Za deską stała brudna, rozczochrana i brzydka dziewczyna i prasowała białą spódnicę kobiecą, suto falbanami ustrojoną.

— Czy panna Iza jest w domu? — spytał przyciszonym głosem Zaremba, nie zamykając za sobą drzwi i trzymając rękę na klamce, jakby w tej chwili chciał uciec.

Dziewczyna głośno i głupowato się roześmiała i nie odpowiadając na zadane sobie pytanie, rzekła:

— A jakże pan przejdzie? Chyba usunę deskę. — I zabierała się powoli, leniwie, z pewną idjotyczną automatycznością ruchów do tego dzieła.

Zaremba zrzucił swe futro na duży kufer, stojący pod oknem i mówił:

— Pytam się ciebie, czy jest panna Iza?

— A jest.

— Czy nie wybiera się do teatru?

— Nie wiem.

— Jest kto u niej?

— Nie ma nikogo.

Podczas tej rozmowy deska została nieco usuniętą, tak, iż Zaremba mógł się przecisnąć dalej ku drzwiom, prowadzącym w głąb mieszkania. Z po za tych drzwi dochodził suchy i urywany kaszel.

W kuchni za przepierzeniem skwarzyło się coś głośno i po całym pokoju rozchodziła się silna woń smażonej cebuli. Samowar ustawiony w progu syczał i dymił niemiłosiernie, a maleńka lampka naftowa bez szkła, podobna do tych jakie były na schodach, uzupełniała tę całość duszną i zabójczą dla płuc. Od lampki mało padało światła i wszędzie wielkie, silne włóczyły się cienie.

Gdy Zaremba z trudnością przedostał się przez deskę do prasowania, uchyliły się drzwi prowadzące do dalszego mieszkania i ukazała się w nich głowa kobiety. Ukazaniu się temu towarzyszył ten sam suchy, brzydki kaszel, który gość przedtem już słyszał. Była to staruszka o białych jak mleko włosach, rzadkich i krótkich, zaczesanych bez ładu na głowie, bez czepka, mała, chuda, koścista i mocno zaniedbana w ubraniu. Twarz miała bladą, cery niezdrowej, trochę ziemistą i gęsto pokrytą czerwonemi plamami. Chuda jej, brudna ręka, o długich palcach wsparła się na klamce, a duże niegdyś i zapewne bardzo ładne, dziś jeszcze błękitne oczy z wyrazem znużenia i smutku wpatrzyły się w Zarembę.

— Ach! to pan! pójdźże dalej, cóż stoisz w kuchni? — mówiła staruszka, otwierając szerzej drzwi, głosem drżącym i łagodnym. — Iza jest w swoim pokoju.

— Dobrze żeś przyszedł, pogadamy trochę — gwarzyła dalej staruszka, gdy Zaremba wszedł do pokoju.

Utykając trochę na nogi, zgarbiona usiadła na fotelu pod oknem, fotelu zniszczonym, odrapanym haniebnie, z wnętrznościami gwałtownie wydobywającemi się na zewnątrz. Przed nią stał mały stoliczek a na nim lampa z abażurem, talja rozłożonych brudnych jak nieszczęście kart, szklanka na pół wypitej herbaty, szczątki bułek i parę skórek z serdelków. Wszystko to pomięszane było z tytoniem, rozrzuconym po stole.

Sam pokój był duży, źle oświetlony przez lampę, pełen cieniów i różnych gratów. Przy jednej ze ścian stała kanapa, zielonym rypsem pokryta, stolik, dwa fotele i kilka krzeseł. Meble te były tandetne, wysiedziane, skrzypiące niegodziwie. Obok nich stary fortepian, niezgrabny i ciężki, a na nim garść zakurzonych nut. Wszystko to było zakurzone, czarne, brudne i smutne.

— Izia jest u siebie — gwarzyła dalej staruszka, zapalając papierosa. — Dobrze, iż wczoraj nie grała, odpoczęła sobie trochę, a choć nie ma *feu* i strata to jest dla nas, ale... zdrowie także coś warte. Siadaj pan... może się napijesz herbaty ze mną?

— Dziękuję pani..... jeszczem obiadu nie jadł. Wpadłem tylko na chwilę, żeby się z panną Izą zobaczyć. Mam do niej interes...

— Ano, to idź, idź. Iziu! Iziu! pan Zaremba przyszedł.

Uchyliły się drzwi w głębi i ukazała się w nich postać niby słońce stanowiąca w tem ponurem mrocznem otoczeniu. Zaraz też zabrzmiał wesoły, srebrny, młodziutki głosik:

— Ach! to pan, panie Zygmuncie. Słyszałam czyjś głos, alem się nie mogła domyśleć czyj. Proszę do mnie. Dla nikogo nie jestem widzialną dzisiaj, ale dla pana...

Wyrzekła to przyciszonym głosem do zbliżającego się Zaremby, z rozkosznym uśmiechem, pełnym zalotności, z błyskawicą w lazurowych oczach.

— Proszę wejść — mówiła — u mnie wygodniej.

To mówiąc roztworzyła drzwi na rozcież i idąc sama przodem, wprowadziła Zarembę do małego pokoiku, urządzonego skromnie, ale z pewnym już komfortem, z pewną chęcią przypodobania się i staraniem się o upiększenie. Ślicznie rzeźbione, stare, z doby cesarstwa łóżko, zajmowało jedną ścianę, pokryte adamaszkową kołdrą w duże czerwone kwiaty. Dalej było kilka krzeseł, kanapka, wielkie stojące lustro, toaleta itp. Na ścianie wisiała duża, nieszczególnie wykonana fotografja Izy. To i wszystko. Dodajcie do tego nieco doniczek z kwiatami, pulpit z kilku zakurzonemi książkami, a będziecie mieć obraz całości. Na stoliku przed kanapą stała duża lampa, pokryta niebieskim, papierowym abażurem, a od tego abażuru cały pokój tonął w mglistej, błękitnej pomroce, nadając całości, sprzętom i osobom pewien tajemniczy urok.

Pod lampą leżał roztwarty sekstern, zapisany dużym, czytelnym charakterem. Była to rola, której się uczyła Iza. Na pierwszej karcie widniały wyrazy:

„Kocham go, kocham więcej niż wszystko, niż Boga samego.“

IV.

„Kocham go, kocham więcej niż wszystko, niż Boga samego.“

Zaremba na tych słowach wzrok zatrzymał.

— To moja rola — rzekła Iza — cóż pan tak ciekawie w nią patrzysz?

— Podobają mi się te wyrazy — odpowiedział Zaremba, wskazując na sekstern z lekkim uśmiechem i siadł na kanapie.

— Jakież to wyrazy? — porwała się Iza i przysunęła do seksternu, a gdy Zaremba wskazał odpowiednie miejsce, zawołała z głośnym, wesołym śmiechem:

— Ach! jakiżeś pan sentymentalny!

Potem usiadła tuż przy nim na kanapce, poprawiła swą sukienkę i wpatrując się lazurowemi oczami w twarz Zaremby, spytała:

— Cóż u pana słychać? Powiedz mi co o sobie.

I nie czekając na odpowiedź, nagłym ruchem rzuciła mu się na szyję i poczęła go całować namiętnie.

Potem odsunęła go od siebie, zerwała się z kanapy i trzepiąc rękami, szepnęła:

— Ach! co ja zrobiłam!

Zaremba był oszołomiony. Patrzał błędnym wzrokiem na tę młodą, słabo oświetloną blaskiem lampy blondyneczkę, której różowe wargi jeszcze wilgotne były od pocałunków, a oczy zachowały jakieś migotliwe błyski, podobne do tych, jakie dają wieczorem szlachetne kamienie. Patrzał i nie wiedział co robić, co mówić. Nie myślał zresztą o tem. Na twarzy czuł jeszcze jej namiętne, gorące pocałunki, widział ją przed sobą samą jedną, z piersią podnoszącą się namiętnie.

Ale ona odzyskała już przytomność. Z właściwą sobie ruchliwością artystycznej natury, zapomniała już o pocałunkach i o wrzeniu krwi, która zakipiała przed chwilą w jej żyłach. Zbliżyła się do dużego stojącego lustra, poprawiła nieco grzywkę na czole, zburzoną pocałunkami i uściskiem, pociągnęła na dół stanik sukni, i patrząc zalotnie na Zarembę, siadła znów przy nim. Była spokojna, uśmiechnięta, niemal poważna. Gdyby ktoś w tej chwili wszedł do pokoju, sądziłby, że młoda ta para rozmawia z sobą o dyplomatycznych zdolnościach Bismarka, lub strategicznych pomysłach Moltkego.

Patrząc na Izę, niktby nie przypuścił, że przed chwilą rozegrała się tu namiętna miłosna scena, że ta dziewczyna spoglądająca poważnie turkusowemi oczami, niedawno rzuciła się w objęcia temu mężczyźnie.

(C. d. n.)

NICZEGO.

Czy to nie jest dopust Boży
Dla dziewczęcia nieszczęsnego,
Gdy je Pan Bóg takiem stworzy,
Co to mówią: „ot, niczego!...“

Chodzi to po Bożym świecie,
Oczy, usta, nos ma w mierze.
Nawet ładnie się ubierze:
Na przechadzkę idąc w lecie.

Niby ładne to i owo,
Ale razem nic pięknego.
Ten i ów pokręci głową,
Spojrzy, przejdzie: „ot, niczego...“

Póki jeszcze sama jedna,
To się i podoba chyba.
Na bezrybiu i rak ryba —
Lecz przy innych gaśnie biedna.

A że świat z pozoru sądzi,
(To już taka wada jego!)
Więc najczęściej w sądach błądzi
O tych, co to tak „niczego.“

Taka, co ma buzię świeżą,
Dołki w licach, sprytne oczki,
A języczek jak u sroczki,
Otoczona jest młodzieżą.

I lgną do niej — ot, szczęśliwa!
Jak do miodu najsłodszego,
I nie dbają, że ta bywa
Często właśnie — do niczego.

Byle ładna, mniejsza o to,
Co tam w głębi i co na dnie,
Niech się śmieje, zerka ładnie,
A świat weźmie szych za złoto.

I wybaczy jej niejedno,
I nie weźmie za złe złego,
Choć potępić gotów biedną
Za to samo tę „niczego...“

Krzywda dzieje się na świecie,
Lecz mężczyzni winni temu,
Bo dla czegoż z nich każdemu
Twarz podoba się w kobiecie!...

Kiedy ładna wabi stale —
Inne wdzięki ich nie znęcą,
Przy niej to się te brzydale
Niby muchy w słońcu kręcą.

Ach! gdy raz już znajdę tego,
Co me serce sam posiędzie,
To mi wszystko jedno będzie:
Czym ja „ładna“, czy — „niczego!...“

Marjan Gawalewicz.

Kwiat szczęścia.

(Ciąg dalszy.)

— Tragiczny los zaiste! — zauważył Hellmar smętnym głosem. — Jakiż to nieskończenie bolesny widok, patrzeć na ten wątły kwiatek grobowy, który ostatkiem sił zwraca się jeszcze ku słońcu, i więdnie pod działaniem światła.

Papa Kroneg słuchał z namaszczeniem tych słów górnolotnych, a „wątły kwiatek grobowy“ zaimponował mu niesłychanie.

Inaczej Henryk. Ten ruszył tylko ramionami i nie dzieląc zachwytu ojca, odezwał się ze szkaradnym sarkazmem:

— Mój Gwidonie! poetyckie twoje zwroty bywają czasami bardzo wzniosłe, ale logiki niktby w nich nie znalazł, chociażby szukał najzawzięciej. „Zwiędnąć pod działaniem światła słonecznego“, ten ustęp zdaje mi się całkiem niezrozumiały. Z doświadczenia wiemy, że kwiaty nie więdną w świetle i że właśnie słońce jest im potrzebne do życia.

— Nawet z takich rzeczy poważnych i smutnych zarazem musisz szydzić. Pani Rehfeld ma słuszność, że dla ciebie nie ma nic świętego i ręczę, że nawet w obliczu śmierci nie powstrzymasz się od dowcipkowania — odparł Gwido z świętem oburzeniem.

— Być może! ale z pewnością nie będę liczyć w obliczu śmierci — odciął Henryk, kładąc przycisk na ten jeden wyraz.

Hellmar nie musiał dosłyszeć odpowiedzi Henryka, albo jej może nie zrozumiał: ruszywszy bowiem ramionami, zwrócił się do radcy, ujął go pod rękę i pociągnął z sobą ku wychodowi.

— Chodźmy, panie radco! z Henrykiem nie ma dziś rady, napadł go widać duch sprzeciwieństwa i musi się wyzłościć. Wieczór ochłonie, a wtenczas będzie go można przyłożyć do rany.

Papa Kroneg nie opierał się wszechwładnej w tym domu woli poety i prawiąc mu komplimenta, wyszedł z nim razem.

* * *

Nazajutrz dokonał się zupełny zwrot w przyrodzie. Zachmurzone niebo wyjaśniło się i tylko gdzieniegdzie przebiegały po niebieskiem tle małe, szarawe chmurki, jak owe niedobitki pokonanej armji, które co prędzej umykają z placu, goniąc za swoimi.

Wzniosłe szczyty gór kąpały się w strugach złotego światła i dumnie wznosiły głowy w obłoki. Ostatnie krople deszczu połyskiwały jak brylanty rzucone w trawy i liście obszernego parku willi Rehfeld, kwiaty zwróciły swoje korony ku słońcu, a zwinięty i więdniejący prawie powój rozwinął różnobarwne kielichy.

Henryk wracał wieczorem z wycieczki w góry i spotkał po drodze Kundzię, córkę jednego z zamożniejszych rolników i właściciela gościnnej gospody w wiosce.

Kundzia szła śmiało obok towarzyszącego jej Henryka i zupełnie ją nie mięszała jego obecność, widać nawet było, że towarzystwo to sprawia jej pewną przyjemność.

Ubrana strojnie według miejscowego zwyczaju, ale z pewną kokieterją, prezentowała się Kundzia wcale dobrze.

Rumiana i opalona nieco dorodna twarzyczka o świecących i dumnie spoglądających oczkach, które się ciekawie wymykały z pod wysokiego tyrolskiego kapelusza, opasanego złotym sznurem, pociągała ku sobie tą prawdziwie sielską świeżością i zdradzała pewien spryt i rozumek, właściwy większości kobiet bez różnicy na sferę, w której się wychowały i wzrosły.

Zgrabna figurka ujęta w czarny aksamitny gorset, zesznurowany na piersi kolorową wstążką, małe ręce i nóżki, przytem pewność siebie w obejściu, wyróżniały ją od córek innych gospodarzy.

Wychodzili właśnie z lasu graniczącego z parkiem pani Rehfeld i przystanęli dokończyć zaczętej poprzednio rozmowy, ponieważ tutaj dzieliły się ich drogi.

— Zwróciłaś uwagę, że nie tak często bywam w gospodzie, a może zatęskniłaś? co? — mówił Henryk, kończąc rozmowę.

Kundzia popatrzyła na niego pytającemi oczyma i odchyliwszy dumnie górną wargę, odpowiedziała:

— Jeszcze czego? Kto nas omija, może sobie chodzić gdzie mu się podoba. Nie brak nam towarzystwa.

— Temu chętnie wierzę. Wszerz i wzdłuż słynie z urody córka bogatego właściciela gospody i nie długo czekać na huczne wesélisko. Wszak jest w czem wybrać pomiędzy wiejskimi chłopakami.

— Alboż to tylko pomiędzy wiejskimi? są i panowie z miasta — odparła Kundzia z przekąsem.

— Tam do licha! zatem już i mieszczuchom pozawracałaś głowy? A nie możnaby wiedzieć, który to taki szczęśliwy z tych miejskich?

— Bądź pan spokojny, nie pan! — odparło dziewczę wesoło, śmiejąc się swobodnie. — Pan woli siedzieć tam na górze u starego Ambrożego: myślałam, że pan zapomniał już drogi do gospody.

— Więc tobie się zdaje, że lepiejbym zrobił, gdybym siedział w gospodzie i patrzył w oczki Kundusi? Możeby to w samej rzeczy było weselej, ale cóż? mam słabość do tego starego — droczył się Henryk z wesołem dziewczęciem.

— Prawda! toż się pan wybiera ze starym Ambrożym na Szczyt lodowy.

— Skoro tylko pogoda się ustali.

— Jabym nie poszła.

— Dlaczego?

— Nie dowierzałabym Ambrożemu,

— Ambrożemu? Używa przecież najlepszej sławy.

— To prawda, ale gdyby tak na mnie, bałabym się z nim spotkać w nieprzyjaźni.

— I ja nie mniej, przynajmniejbym się dobrze pilnował, ale nie ma żadnej obawy, jesteśmy przyjaciołmi, a potem, nie znalazłbym lepszego przewodnika.

— A jednak z głowy mi wyjść nie może, co ojciec o nim opowiadał. Znał on Ambrożego jeszcze

za młodu, kiedy się trudnił oprowadzaniem obcych po naszych górach. Uchodził za najlepszego przewodnika i nikt się nie puszczał w góry bez niego, ale raz wyszedł z jakimś panem i zaskoczyła ich burza, nie mogli iść dalej, ani wrócić, bo zmylili drogę..... wtenczas.....

— Wtenczas? powtórzył Henryk zaciekawiony.

— Ambroży skrył się do schroniska, a ten obcy zginął w śniegach.

— Być może, iż tak się stało, ale cóż winien przewodnik, że się wydarzyło nieszczęście?

— Ojciec mówi, że nie powinno się było wydarzyć, gdyby Ambroży nie był stracił głowy i ratując siebie, nie zapomniał o obcym. Obaj mogli się wyratować, bo nie byli jeszcze bardzo wysoko i drogi nie zawiało tak mocno jak w innych latach. To nie ładnie zostawić tak człowieka, który mu się powierzył. Ojciec opowiadał, że we wsi było wiele gadaniny i różni różnie o tem prawili.

— Ojciec twój myli się — odparł Henryk stanowczo — Ambroży byłby z narażeniem własnego życia ratował człowieka, który się oddał jego pieczy. Nie zna on żadnych niebezpieczeństw w podobnych razach, miałem tego osobiste dowody.

— A jednak nie uczynił co do niego należało — utrzymywała Kundzia uparcie. — Siedział sobie bezpiecznie w schronisku, a nieszczęśliwy, którego miał przeprowadzić, zginął w zaspach. W całej okolicy mówiono głośno o tchórzostwie Ambrożego i od tego czasu nikt go już nie brał na przewodnika.

— Cała ta historja musiała się inaczej odbyć! — twierdził Henryk.

— Jeżeli pan wie lepiej... mnie wszystko jedno! — odparła Kundzia, dotknięta taką niewiarą. — Ale radzę nie iść z Ambrożym! mogłoby pana spotkać jakie nieszczęście.

— Więc nie byłoby ci obojętnem, gdybym zginął, jak ów obcy? — zapytał Henryk wesoło, a drocząc się z uśmiechniętem na taki zwrot dziewczęciem, dodał: — Muszę przedsięwziąć tę wycieczkę, chociażby dla tego tylko, żeby się dowiedzieć, czy Kundzia bardzo będzie się o mnie obawiać, ale gdy powrócę i przyniosę wiązankę, co za to dostanę?

Lekki ton, w jaki wpadł Henryk po rozmowie dość poważnej o Ambrożym, podobał się Kundzi, to też oddając pięknem za nadobne, drożyła się z odpowiedzią, udając zakłopotanie. Rozprawiając wesoło, nie spostrzegli się nawet, że weszli w granice parku pani Rehfeld.

Wśród śmiechu wyszli na łączkę, nagle Henryk stanął jak wryty, zdawało się nawet, że w pierwszej chwili chciał zawrócić. Kundzia idąc za wzrokiem swego towarzysza, ujrzała panią Rehfeld, siedzącą na odłamie skały.

Wyjątkowo puściła się Ewelina w tę stronę ogrodu bez żadnego towarzystwa, a przy panującej dokoła ciszy musiała od dłuższego czasu słyszeć każde niemal słowo rozmowy Henryka z Kundzią.

Henryk przystanął mimowoli na widok przyszłej swej teściowej, ale w tej samej chwili powziął pewne postanowienie i zbliżywszy się do Eweliny, zapytał ze zwykłą obojętnością, jaką wobec niej zachowywał:

— Pani tutaj? i sama?

Ewelina odpowiedziała na ukłon lekkiem skinieniem głowy i przelotnie spojrzała na Kundzię, którą znała i zawsze spotykała z pewną życzliwością. Dziś mniej łaskawie ją przywitała, a zwróciwszy się do Henryka wyrzekła:

— Miałeś pan bezwątpienia zamiar odprowadzić Kundzię do domu? Proszę się nie żenować.

Silny rumieniec wystąpił na twarz zagadniętego w ten sposób młodzieńca. Zrozumiał on dobrze myśl ukrytą w obojętnie na pozór wypowiedzianych słowach, ale siłą woli powściągnął złośliwą i mniej grzeczną odpowiedź, która mu zawisła na ustach.

— Spotkałem Kundzię przypadkiem a drogi nasze rozchodzą się tutaj właśnie... — odpowiedział spokojnie, ale z widocznym przyciskiem. Potem odwrócił się do Kundzi i podawszy jej rękę na pożegnanie dodał: — Do widzenia piękna Kundziu, a pozdrów ojca odemnie.

— Dziękuję panu za pozdrowienie, a proszę nas odwidzieć w gospodzie — odpowiedziała Kundzia, nie zauważywszy nic szczególnego w zachowaniu się pani Rehfeld. Następnie pocałowała ją w rękę i wesoło a raźnie puściła się drogą do wsi, odwróciwszy raz jeszcze do Henryka uśmiechniętą swą twarzyczkę na pożegnanie.

Po odejściu Kundzi zapanowało grobowe milczenie na pagórku, i kto wie jak długo by trwało, gdyby nie Henryk, którego dwuznaczne to położenie dziwnie drażniło.

— Słońce już zaszło, a wieczorny chłód może pani zaszkodzić — przerwał, ażeby coś powiedzieć.

— Nie czuję chłodu, mam wreszcie ciepłą okrywkę — odpowiedziała Ewelina, a po chwilowem wahaniu dodała: — Jesteś pan na poufałej stopie z Kundzią, i teraz sobie przypominam..... pan Hellmar mówił, że pan często bywa w gospodzie jej ojca.

— Nie częściej od niego... — odparł Henryk szybko.

— Wiem o tem, że pan Hellmar zagląda tam czasami dla robienia spostrzeżeń, ale zauważył, że zachwalana ta prostoduszność ludu wstrętne na nim robi wrażenie i nie dziwię się wcale. Wyższy umysł poety nie może znaleźć upodobania w dzikich zwyczajach, właściwych temu rodzajowi ludzi.

— To jego zdanie. Ja inaczej się zapatruję na ten czerstwy i zdrowy lud, który nie umie wprawdzie obracać się w pewnych, nam zwyczajnych formach, ale dzikim nie jest, a przynajmniej dzikość ta

jak ją nazywa Gwido, tylko wyjątkowo objawia się u niego. Jest w nim życiowa prawda i zdrowe poglądy, a w wielu razach moglibyśmy się od niego pouczyć niejednego.

— Musiałeś się pan już wiele nauczyć i podziwiam łatwość pojęcia u pana. Umiesz trafiać w właściwy ton, tak przynajmniej każe mi wnosić zasłyszana rozmowa z córką szynkarza — odpowiedziała pani Ewelina z lekkim odcieniem ironji.

— Mówiąc z Kundzią, trudno używać kwiecistego języka: muszę przemawiać w sposób dla niej zrozumiały... — dorzucił Henryk.

— Ale co widzę! zdjąłeś pan przepaskę! Czy ręka już zdrowa?

— Nie było o czem mówić. Lekkie draśnięcie, które mi przeszkadzało w pracy biurowej... Dzięki tej szramie udało mi się wyrwać na kilkotygodniowy urlop i zrzucić kajdany ciężkiej niewoli.

— Nazywasz pan pracę biurową niewolą? Iluż młodych ludzi czułoby się szczęśliwymi w pańskiem położeniu? Tak młody a już urzędnikiem w ministerstwie, nadto pod opieką troskliwego ojca, który na każdym kroku czuwa nad panem i toruje mu drogę do karjery.

Kaznodziejski ton i pouczający sposób przemawiania jaki pani Ewelina przybierała zazwyczaj wobec niego, niepodobał się Henrykowi i pobudzał go do skrajnej opozycji.

— Racz mi pani szczerze powiedzieć, czy wierzysz w moją karjerę urzędową? Ja nie mam do niej najmniejszego zaufania, nawet ojciec podziela zupełnie moje zdanie w tej mierze i powtarza mi codziennie, że jestem niezdolny do pańszczyzny kancelaryjnej.

— Jeżeli pan zawód czynny i pełen przyszłości nazywasz pańszczyzną... gotowa jestem podzielać zdanie pana radcy Kroneg.

— Czynny, pełen przyszłości?... Mój Boże! urzędnicy mojej rangi nie biorą niestety najmniejszego udziału w rządzeniu. Nasza praca ogranicza się na przepisywaniu sążnistych referatów panów radców i nadradców, tak nudnych jak oni sami. Niepodobna sobie wyobrazić, co to za zabójcza dla ducha i monotonna robota, siedzieć przy biurku kilka godzin i z akuratnością wahadła zegarowego posuwać ręką po papierze. Można ze skóry wyskoczyć! człowiek uciekłby na drugi koniec świata, do Hottentotów, byle zdaleka od zbutwiałej woni starych aktów. Dlatego jak się wyrwę z tego modnego aresztu...

— Dosiadam dzikiego konia i pędzę na oślep. Inaczej nie byłbyś pan uszkodził ręki, tak przynajmniej ludzie mówią o tem — dokończyła pani Ewelina.

Henryk spojrzał uważnie na panią Rehfeld i dostrzegł w jej oczach jakąś myśl ukrytą.

— Pani zdaje się powątpiewać?

— Muszę! bo słyszałam, że pan Henryk Kroneg pojedynkował się przed paru tygodniami i tam otrzymał cięcie w rękę.

— Kto to powiedział? — zapytał Henryk żywo. A gdy pani Rehfeld nie odpowiadała, dodał:

— Dziecko ze mnie, że się pytam. Któż inny mógł powiedzieć? Gwido Hellmar!

— Być może!

— Tylko on jeden! Był moim sekundantem, ale nie sądziłem, że wygada się z tem. Na przyszłość będę ostrożniejszy i postaram się o wybór pewniejszych i dyskretniejszych świadków.

— Na przyszłość? — powtórzyła z odcieniem zgrozy pani Ewelina. — Więc pojedynki są u pana rzeczą codzienną? Nie sądziłam, że pan tak lekko ważysz własne życie, pomimo jasnych dowodów, że nigdy nie brałeś je na serjo. Może to przykre co mówię, ale doszły mnie ostatniemi czasy wiadomości, które mnie zmuszają pomówić z panem otwarcie, zwłaszcza że chodzi tutaj o przyszłość dziecka, droższego mi nad wszystko.

— Czy w tak czarnych kolorach przedstawił mnie mój przyjaciel? — zapytał Henryk spokojnie.

— Posądzasz pan Gwidona? — pospieszyła pani Rehfeld z zapytaniem, zwalczając lekkie pomięszanie.

— Myślę, że on to raczył pani udzielić tych wiadomości, które ją trwożą o przyszłość Andzi.

— Mógłbyś pan zatem zaprzeczyć faktom?

— Faktom może nie, ale koloryt stanowczo za jaskrawy. Zresztą brzydzę się donosami — odparł Henryk z oburzeniem.

— Jesteś pan w błędzie, przypisując panu Hellmarowi niskie motywa. Wymówił się mimowoli o pańskim pojedynku i tylko na wyraźne moje nalegania dał się skłonić do bliższych wyjaśnień. Ale i w tym wypadku starał się pana usprawiedliwić i odsłonił całą prawość charakteru, która wyszczególnia tego niezwykłego człowieka.

— A gdybym się ośmielił twierdzić, że ta prawość nie taka anielska i że osobnik przez panią postawiony mi za wzór dalekim jest od ideału, za jaki uchodzi? — odpowiedział Henryk z pewnością siebie.

— Odpowiedziałabym, że wszystko wzniosłe i szlachetne ma zawistnych nieprzyjaciół i zazdrośnych.

Henryk drgnął z oburzenia, ale powściągnął wybuch i skłoniwszy się tylko, wyrzekł obojętnie:

— Być może! ale odstąpiliśmy od właściwego przedmiotu. Czekam z pokorą kazania.

Ton w jakim te słowa zostały wypowiedziane i wyraz „kazanie", dotknął panią Rehfeld nieprzyjemnie, zwalczyła jednak uczucie niechęci i drżącym głosem wypowiedziała zwolna, ważąc każdy wyraz:

— Nie mam zamiaru prawić panu morałów, na niby się to nie zdało, przyznam jednak otwarcie,

że czego innego spodziewałem się po panu Henryku Kroneg. Życzenie śp. męża mojego jest mi święte, ale z drugiej strony mam całą świadomość obowiązków, jakie włożył na mnie, powierzając szczęście jedynej swej córki. Boję się o przyszłość Andzi przy pańskim boku i nie odważyłabym się teraz złożyć jej los w ręce pana Henryka..... ten związek przyniósłby jej nieszczęście.

— Cóż łatwiejszego jak zerwać go, nim został zawarty? — odpowiedział Henryk chłodno.

Pani Ewelina spojrzała na niego z wyrazem najwyższego zadziwienia. Nie spodziewała się takiego obrotu rozmowy. Zdawało się jej, że zagrożony utratą Andzi będzie ją przepraszać, przyrzeknie poprawę i rozpłynie się w czułości, a tu nagle, zamiast tego wszystkiego, tak lekko wyrzeka się szczęścia, które według jej pojęcia, powinno mu być droższem nad życie. (C. d. n.)

Potęga prawdy.

(Ciąg dalszy).

Pan asesor przeszedł szybko korytarz jakby w obawie, żeby go nie przychwycono za połę, czuł bowiem, że pomimo całej swej dyplomacji o włos tylko uszedł konieczności dania odkosza... Szybko ucieczką salwował się od katastrofy i dopiero za bramą odetchnął swobodniej. Uszedł kilkadziesiąt kroków, zaledwie, gdy usłyszał za sobą turkot powozu, a odwróciwszy się ujrzał przy świetle latarni lekki wolancik powożony przez Detlewa Löwensterna.

Młody Krezus poznał Gehrena i rzucił mu w przelocie: — „Dobrej nocy"...

Obok brata siedziała Asta.

Tylko przez jedno oka mgnienie spoczął jego wzrok na tej spokojnej twarzy, na której marmurowy zaległ spokój i rodzaj zobojętnienia na wszystko co ją otaczało.

Wolant potoczył się szybko po bruku a Gehren ścigał go wzrokiem dopóki nie utonął w ciemnościach nocy.

Trzeba przyznać rodzeństwu Löwenstern, że żyli jak prawdziwi dżentelmeni.

Asta była donną w całem słowa znaczeniu.

Po przybyciu do miasta słyszał Gehren w kasynie, nie znając jeszcze Detlewa, że o ile młody Löwenstern odznacza się ruchliwem i wrażliwem usposobieniem, o tyle siostra jego żywy stanowi kontrast. Wprawdzie protestował Detlew przeciw takiemu ocenianiu ukochanej siostry, gdyż oceniał ludzi podług siebie i ubóstwiał ją jak kochankę.

Zaprzyjaźniwszy się z Gehrenem mówił z nim Detlew bardzo często o swojej siostrze, a że był entuzjastą, który się wszystkiem zachwyca, uczuł dziwny pociąg do nowego przyjaciela.

Wracając pewnego razu z polowania wiózł w swym powoziku Gehrena. Było to pierwszych dni kwietnia. — Wiosenny wietrzyk muskał lekko trawy wydobywające się z ziemi i napełniał powietrze wonią świeżego kwiecia.

Detlew uległ chwilowemu czarowi, co mu się często zdarzało i ściskając Gehrena za rękę odezwał się:

— Czy jest co wznioślejszego nad przebudzenie się natury do życia? Zdaje się, że niebiosa otwierają się i wysypują skarby szczęścia na śmiertelników; tylko sięgnąć ręką, a szczęście samo ci wpadnie.

Gehren ruszył ramionami i półgębkiem odpowiedział:

— Być może. Ja naprzykład jestem pewny, że w biurze spadło na mnie to szczęście w postaci stosu aktów.

Żart niewczesny popsuł, ma się rozumieć, humor młodemu entuzjaście.

— Wiadro wody z lodem wylane na głowę — uśmiechnął się żałośnie — oto jedyna przysługa, której mogę się po was obojgu spodziewać i oczekiwać. Niemal dosłownie, chociaż w innej formie i barwie, pisze to samo z Rzymu Asta.

Wyjął list z pularesu i zaczął w głos czytać: „Mamy tu już wiosnę w całej krasie. Wielka szkoda, że zamiast mnie ty na te cuda patrzeć nie możesz. Wszak do tych należysz, którzy razem z majową zielonością zaczynają o czemś roić, czegoś się spodziewać, a z suchym liściem jesiennym tęsknią i smętnie dumają. A ja? Wiem, że ani na jotę szczęśliwszą się nie uczuję, chociaż willa Pamfili Doria błyśnie przedenną, ustrojona w różnobarwne szaty godowe, chociaż jasna zieloność urozmaici dotychczasowy ciemny ponury odcień pinij, śmiało w niebo strzelających, kwiat cytryn i pomarańcz rozleje wkoło woń odurzającą, a na mirtach rozsieją się niby perły, białe gwiazdeczki..."

— Wiecznie i zawsze przypominasz mi kochany baronie, moją siostrę — kończył Detlew, list napowrót chowając. — Ani krzty ułud błogich, uszczęśliwiających bodaj przelotnie. Serce u was zamknięte wiecznie. Wszystko wam jedno, czy matka przyroda stroi się w czar wiosenny, czy spi pod śmierci białym lub szarym całunem. Tylko ja, duch wiele instynktowo odgadujący, a do obojga namiętnie przywiązany, przypuszczam, iż po za temi niedostępnemi ryglami i zamkami, znalazłyby się skarby szacowne, byle ktoś do tej skrytki postarał się o klucz odpowiedni, skarby tak nieprzebrane, iż z niemi, jakiekolwiekby czasy nastały, nie możnaby się bankructwa obawiać.

Roman wybuchnął śmiechem.

— Kochany Löwenstern, przypominasz mi podlotka, pensjonareczkę, na wakacje wypuszczoną. Wio-

sną oczarowany, widzisz i twoich przyjaciół, w jakiejś świetlanej aureoli, przypisujesz im przymioty w stopniu najwyższym, doskonałości niedoścignione!

A jednak niepoprawnego marzyciela przeczucie tym razem nie omyliło. Czekała go bowiem nader miła niespodzianka.

Wracali do miasta, pod nad którego wieżami płynął księżyc majestatycznie. Roman i *Otello*, czarny, prześliczny wyżeł Detlewa, mieli miny tryumfujące. Pierwszy prócz kilkunastu celnych strzałów, zrobił mistrzowską dubletę, pies zaś poczciwy każdą sztukę najwierniej przyaportował, mimo wstrętu wrodzonego do błota, w które brnąć musiał nieraz po szyję. Detlew jak zwykle nic nie zabił, zanim bowiem ocknął się z zadumy, ptak każdy dawno już odleciał na cztery wiatry. Zdobyczą jedyną była wiązanka kwiatów pierwszych w dziurce od kurtki myśliwskiej i błoto na butach wysokich, świadczące, że miał szczerą intencję polowania.

Naraz na szosie prowadzącej na dworzec kolei, skrzyżował się z nimi wóz pod rzeczy i kocz Löwensternów. Stangret wstrzymał konie, strzelec zaś zeskoczywszy z kozła, oświadczył, że jaśnie panienka telegrafowała, żeby na nią dziś wieczór konie na dworcu czekały.

Detlew był okropnie rozstrojony tą wieścią tak niespodziewaną. Z jednej strony nie posiadał się z radości, iż wraca siostra ukochana, z drugiej zaś był pełen trwogi i niepokoju, czy się jej co złego nie przytrafiło. Przyszła mu na myśl Malarja. Dla czegoż mu jednak o niczem nie doniósł Dżon, tak zawsze przytomny i wierny kamerdyner, którego umyślnie siostrze odstąpił, wysyłając ją do Włoch? Miał przecież nakazane, pisać o wszystkiem co się Asty tyczyło z szczegółami najdrobniejszymi.

Natychmiast wsiadł do kocza, buty jedynie, w których chował się do pół prawie, trochę z błota oczyściwszy, w kurtce strzeleckiej, w szpiczastym kapeluszu na głowie, z nieodzownem czaplem piórem, i z resztą rynsztunku.

Roman odjechał do siebie prosto, uśmiechając się ironicznie, iż on, wielkiego rodu potomek, mógłby mieć cokolwiek wspólnego i być w czemkolwiek podobnym do córki żyda bankiera, świeżo wychrzczonej.

Uśmiech drwiący i pełen wątpliwości, nie pojawił się więcej na jego ustach, skoro Astę poznał osobiście na owym balu u prezydenta.

Detlew wybiegł do niego aż do przedpokoju, z twarzą jaśniejącą i rozanieloną.

— Dzięki niebu, nic się złego nie stało! — wołał już z daleka. — Myśl o powrocie takiej tylko jak Asta, mogła strzelić do głowy. Posłuchaj tylko baronie! Zwiedzała jak nieraz sama jedna, galerję posągów w Watykanie. Eros szczególniej ją zachwycał. Ja bo się wcale nad nim tak nie unoszę: podzielam nawet zdanie tych, którzy utrzymują, że z owym długim włosem i twarzyczką smętną, podobny raczej do genjusza śmierci. Jak też by mógł Praxiteles przeznaczyć Frynie bożka miłości, tak ponurego i pełnego melancholji! Stosuje się prawie do medaljonu po nad nim, gdzie Cosimo I. występki rozpędza, a cnoty wprowadza. Asta jednak nie posiadała się z zachwytu. Opowiadała, iż promień słońca padając prostopadle na głowę cokolwiek pochyloną, z włosem naturalnie falującym, tak czoło uwydatnił, taka jasność z niego biła, jak gdyby Eros odgadł w tej chwili wielką zagadkę, nad której rozwiązaniem zdaje się dumać od wieków. Gdy z galerji wróciła do domu w nader podniosłem usposobieniu duchowem po doznanem wrażeniu, jej towarzyszka, pani Bertrand, postąpiła tymczasem wręcz przeciwnie, niż Cosimo I. Cnót nie było ani śladu w salonie, za to wszelkie wady i uczucia nieszlachetne pojono winem i karmiono rozmaitemi słodyczami. Była między innymi stara Bas-Bleu, z okiem pałającem i z wąskiemi, zwiędłemi ustami, wykrzywionemi pożerającą zazdrością, i mąż tęgi, piękny, w kwiecie wieku mężczyzna, służący w Bersaljerach. Głupia próżność i zamiłowanie lekkiego chleba, skłoniły młodzika do małżeństwa z bogatą i sławną autorką. Ma się rozumieć, że po uszy zakochany...... ale w ładnej kokietce, baronowej z Wiednia, która zasłyszawszy coś o Schillerze, oświadczyła z góry: „Iż nie ma przyjemności znać tego pana...“ Dalej księżna rosyjska i *son ami*, jak cień nieodstępny od jej osoby..... jakiś inżynier bez chleba, do wzięcia zatem. Właściwie nie można wiedzieć, co tę parę godną połączyło? miłość, czy nihilizm?.. bogata, skąpa jak Harpagon, włoska hrabina, bigotka chwiejąca się pomiędzy Bogiem a młodziutkim, nader urodziwym prałatem, który jak utrzymuje, poświęca się jej li w szczytnym celu, aby zapewnić kościołowi jej miljony. Najstraszniejszem zaś było, iż jako Eros, specjalnie dla Asty przeznaczony, zjawił się jakiś principe, w Paryżu zrujnowany fizycznie, w Monaco zgrany do nitki, zawracający do niej *allegro vivace* oczy czarne jak piekieł czeluście. Poczciwy principe szalę przechylił. Mojej siostrze najwstrętniejszem jest frymarczenie uczuciem; ze wszystkich zaś kłamstw najpotworniejszem w jej oczach jest udawanie miłości. Natychmiast też kazała pakować manatki, a nazajutrz już jej w Rzymie nie było.

Roman poprosił, żeby go raczył siostrze przedstawić i wziąwszy się pod ramię, weszli na salę balową.

Poznał ją natychmiast z portretu olejnego, naturalnej wielkości, który wisiał w sypialnym pokoju brata. I w oryginale uderzył go wyraz smętny, a wzrok badawczy, jakimby chciała każdego nawskróś przeniknąć, na kogo spojrzy, nad czem się już wpierw, patrząc na malowidło, zastanawiał.

Od niechcenia, z obojętnością lodowatą odwróciła głowę od tłumu panów, otaczających i nadska-

kujących najposażniejszej z panien na wydaniu, słysząc głos brata, który mówił głośno i z pewnym naciskiem:

— Baron Roman Gehren, o którym ci tyle pisałem i opowiadałem.

Gdy jednak podniosła na Romana swoje duże, piękne oczy, nagle...

Czy to tylko nie było złudzeniem? Czy mu bujna fantazja figla nie wypłatała? Czyż rzeczywiście twarz marmurowo spokojna Asty ożywiła się, a wzrok zapłonął namiętnem uniesieniem i odbiło się w nim zdziwienie? Nie, nie, tak było rzeczywiście. Pamięta dobrze. To był zresztą dla niego chleb powszedni, oswoił się od dawna z wrażeniem, które wywoływał. Dotąd żadnej do tego wartości nie przywiązywał. Wiedział jak owa piękność uderzająca każdego, a która stanowiła ich jedyne po przodkach dziedzictwo, na nic się nie przydała tak siostrze jak i jemu. Teraz może na szali szczęścia zaważy wraz z jego imieniem starożytnem, uzdolnieniem do wyższej karjery dyplomatycznej i całem postępowaniem nienagannem.

Zwolna do domu wracając, powtarzał w duchu każde słowo tego wieczoru z nią zamienione, niby dobry polityk, wysłany w misji dyplomatycznej do państwa ościennego, który zacząwszy rokowania ze stroną przeciwną, przechodzi w myśli położenie dawniejsze, porównując takowe z dzisiejszem.

Pamiętał, iż rzekł do niej na początek:

— Sprzykrzyły się pani czcze słówka i grzeczności, od których ludy romańskie nie mogą się odzwyczaić i uciekłaś między nas, mających odwagę do prawdy.

— Czyżby tak było rzeczywiście? — uśmiechnęła się niedowierzająco.

— Z pewnością! — odrzucił z przekonaniem. — Zacząwszy od naszego pierwszego męża stanu, który szczerość i otwartość w polityce doprowadził niemal do ostatecznych granic bezwzględności i brutalstwa, starają się w ogóle duchy wyższe o wyswobodzenie z utartych formułek, o zamiłowanie prawdy.

Potrząsła głową przecząco:

— A mnie się zdaje, z tego co dotąd spostrzegam, że znaleziono li odwagę do nadto wielkiej trzeźwości.

— Od tego musieliśmy zacząć — rzekł spokojnie. — Nowe pokolenie nie mogło spotkać się z prawdą bezwzględną, unosząc się w górę na skrzydłach fantazji: trzeba było zejść po nią na ziemskie niziny, szukać jej trzeźwym rozumem. Zanim sądzić zaczniemy, trzeba wiele, bardzo wiele wyrzucić z korzeniem. Przesądy rozmaite, uczucia niewczesne, które wyobraźnię miło łechtały, próżności dogadzając. Dopiero gdy te niepotrzebne naleciałości usuniemy i z gruntu wykorczujemy, na tak oczyszczonej roli cudowny kwiat prawdy będzie mógł bujać i kwitnąć swobodnie.

Roman czuł, że mówi dobrze i był przekonany, że Asta słuchała go z zajęciem.

Muzyka zaintonowała walca. Musiał odejść, bo był już przedtem do niego Helenę zamówił. Na prośbę o jaki taniec, Asta tylko wzruszyła miłosiernie ramionami, z uśmiechem wielce łaskawym wskazując na karnecik, gdzie już wszystkie tańce były podkreślone od dawna.

Gdy walca przetańczywszy, stanął za krzesłem Heleny, gawędząc wesoło i poufale, uczuł na sobie wzrok Asty, zdziwiony i pytający. Zwolna jednak oczy od niego odwróciła, z wyrazem (nie mógł tego ukryć sam przed sobą) lekceważenia, prawie pogardy. Krew w nim zawrzała. Jak śmie ta parwenjuszka jego tak ostro sądzić. Jakiem prawem? Tem bardziej zaczął Helenie nadskakiwać.

Spojrzawszy po chwili w stronę Asty, widział, że na niego więcej nie zważa. Mimowolnie spłonął wstydu rumieńcem. Jakże nie licowało dziecinne i głupie postępowanie z Heleną, ze słowy górnolotnemi, które przed chwilą wypowiedział.

Szukał sposobności, aby się przed Astą wytłumaczyć i usprawiedliwić. Jakkolwiek jednak zręcznie manewrował, spotykał się jedynie z długą powłoką od jej sukni z ciężkiego atłasu, przykrytej cudnej piękności i cienkości koronkami.

Tak samo szczęście mu nie sprzyjało podczas koncertu sławnej zagranicznej śpiewaczki, która w sezonie dość spóźnionym potrafiła jeszcze głośnem nazwiskiem zgromadzić w dusznej sali całą śmietankę. Gdy koncertantka obdarzała publiczność coraz nowemi utworami po nad program, wsunął się do loży Löwensternów. Nie mógł jednak z Astą ani słówka zamienić: migały mu li przed oczami szpilki brylantowe w jej pysznych splotach hebanowych, niby złośliwie migające oczkami chochliki. A przecież skoro znalazł się za krzesłem Heleny, spoczął na nim przelotnie wzrok Asty, tak badawczy, tak nawskróś przenikający, jakby trzymała w ręku ważkę od złota, aby się dowiedzieć dokładnie, ile warte to jego nadskakiwanie.

Spojrzenie, które go zawsze spotykało, skoro się zetknął z Astą gdziekolwiek, chociaż po niem zwykle głowę odwracała z wyrazem apatycznym i nieznacznem ściągnieniem ramionami, dowodziło, iż się nim cokolwiek zajmuje. Roman rumienił się za każdym razem, czując, iż Asta wyłapała go na zabawie niegodnej człowieka honoru.

Jeżeli jest atoli prawdziwie damą wielkoświatową, powinna wiedzieć, że takie miłostki przelotne są dozwolone i nikt ich na serjo nie bierze. To zresztą... raz mu się przytrafiło i więcej się nie powtórzy.

Tak się dobrze zaczęło, a teraz ani rusz! nie mógł na nowo nawiązać z Astą stosunków mniej ceremonjalnych, cokolwiek serdeczniejszych. I znowu przesunęła mu się ta twarz blada, wcale na niego

uwagi nie zwróciwszy, mimo że tak nisko i szarmancko się jej ukłonił. Tupnął nogą energicznie. Cóż znowu! Będziesz się wiecznie przed nią rumienił, niby student zgromiony przez profesora? Słabość niegodna mężczyzny! Musisz się z niej wyleczyć koniecznie.

W myślach pogrążony, przeszedł z części miasta wytworniejszej, li przez bogaczów zamieszkałej, na przedmieście skromniejsze, gdzie sam mieszkał. Na zakręcie wąskiej uliczki, tuż pod słupem rewerberu, otarł się o młodego oficerka, pomykającego prawie galopem. Tenże wycedziwszy przez zęby: „Pardon!“ twarz natychmiast odwrócił od blasku latarni. Roman jednak poznał z profilu i z całej postawy wiotkiej jak trzcina, Maksa Althausa.

Tędy zatem wypadł patrol panu porucznikowi! Tu niewątpliwie mieszkała jaka ładna szwaczka, z którą młodzik od dawna tnie cichaczem romansik. W klubie i w kółku oficerskiem coś o tem na ucho przebąkiwano. I w wielkiem mieście ploteczki i skandaliki snują się w powietrzu i z ust do ust przelatują, całkiem jak na małym partykularzu.

Roman był tem bardzo zgorszony. Właśnie podobne stosunki, niby narzeczeństwo, niby pół ślubu, rozwiązują się nader trudno, młody człowiek nadto do nich przywyka. Znajdywał, że Maks palnął kolosalne głupstwo, iż się dał tak złapać zręcznej i przebiegłej kokietce przedmiejskiej.

* * *

Gdyby baron Gehren mógł był rzucić okiem w głąb skromnego mieszkanka, z którego tylko co wychodził porucznik Althaus, musiałby był przyznać, mimo, iż widział li strony ujemne tego stosunku, że co do samej osoby, w grze będącej, grubo się omylił i sądził najniesprawiedliwiej.

W domku ubożuchnym na przedmieściu mieściła się garstka ludzi uczciwych, którzy ciężką pracą rąk własnych przez świat się przebijali. Dół zajmował właściciel, murarz z zawodu, który późnym wieczorem mięszał w cebrzyku żółtą farbę z wapnem, aby nią do dnia domek swój pomalować. W maleńkim sklepiku, w suterenach, wdowa z kilkorgiem dzieci utrzymywała się jedynie, sprzedając według pory roku rozmaitości, z nader małym zyskiem. Oprócz tego zarobku groszowego, trudniła się praniem grubej bielizny, i oto właśnie kończyła na gwałt w nocy i wykręcała sztukę po sztuce, aby nazajutrz w niedzielę oddać, co komu należy, a i dziatki biedne ubrać w czyste koszulki. Obok w ciasnej i dusznej izdebce, najstarsza córka, która miała być w tym roku konfirmowaną, uczyła się pilnie głównych zasad i stanęła na pytaniu: „Co to znaczy, Boga bać się i kochać zarazem?“ Najmłodszy zaś chłopczyna, z główką jak len jasną, bijąc w takt pod stołem tłustemi, bosemi nóżkami, ćwiczył się na tabliczce łupkowej w rachunkach, dochodzących do miljona.

(C. d. n.)

Plotki lwowskie.

.....lecz odkrywszy pańskie incognito, szczerze panu powiadam, iż nigdy nie spodziewałam się tego po panu. Jakkolwiek jest to strawa nader popłatna u szerszej publiczności, polującej z upodobaniem na prywatne skandaliki, i jakkolwiek chcąc sobie zdobyć uznanie a tem samem szersze koło czytelników, należy podawać im tę strawę, która im najwięcej smakuje, jednakże nigdy nie sądziłam, byś i pan zechciał zejść na pole prywatnych skandalów, a polując na tani i łatwy temat, zeszedł do roli.... — daruj pan że resztę wykropkuję.

— Ależ pani, na miłość boską! o czemże pisać w tym nieszczęśliwym Lwowie? Czy podawać sprawozdania balowe i teatralne, o których przez tydzień cały w stereotypowych formułkach rozpisują się dzienniki codziennie? Wszak prócz tego tematu nie pozostaje dla mnie już nic więcej, gdyż nie tu miejsce wymyślać radzie miejskiej, wydziałowi krajowemu itp. nieszczęśliwcom. A zresztą cóż tak złego popełniłem? Opisałem fakt, o którym już połowa wróbli lwowskich dawno wiedziała, a który zresztą sam w sobie nie był tyle skandalicznym ile komicznym. I cóż w tem tak złego?

— Złe czy dobre, lecz niepotrzebne. Postaw się pan obecnie w położeniu tej panienki. Czyby przyprzyjemnie było to panu?

— Nie przeczę, lecz o czem pisać?

— O wszystkiem, lecz nie o sprawach osobistych.

— Naprzykład?

— Naprzykład... o życiu towarzyskiem Lwowa w ogóle.

— Ależ pani, to temat na sto pogadanek.

— Tem lepiej, nie będziesz się pan mięszał w prywatne skandaliki.

Taką mniej więcej rozmowę miałem przed kilku dniami z pewną nader miłą osóbką, a szanowna interlokutorka zapewne i za powtórzenie tej rozmowy nowy bój ze mną stoczy. Z czyjej strony racja, rozsądźcie same piękne czytelniczki, ja jednak w obawie bym rzeczywiście nie popełnił zbyt boleśnej dla kogoś niedyskrecji, postanowiłem wyrzec się ulubionego przezemnie pieprzyku i zastosowywać go jedynie o ile się da w tematach więcej ogólnych.

Na razie zastosuję się do projektu pięknej mej antagonistki i opiszę wam co nieco to pół-życie a właściwie pół-sen towarzyski Lwowa.

A że znam aż nadto dobrze tę pseudo-stolicę a właściwie partykularz, sądzę iż z prawdą się nie minę.

Jeżeli Lwów w czasach dawnej Polski odgrywał jakąś rolę w szale zabaw szlacheckich, to składały się na to zupełnie odmienne stosunki. Dawniej każde

z większych miast miało swoje miesiące, w których ściągała się doń wszystka szlachta okoliczna i magnaterja całego niemal kraju, wraz z nieodzownym pocztem setek dworskich pieczeniarzy szlacheckich. W tym czasie i Lwów podczas swoich kontraktów szalał w najlepsze, a szalał tak dobrze jak Warszawa, Kraków, Lublin lub Kijów.

Dziś czasy się zmieniły. Dziś prócz stolic europejskich każde miasto pozostawione niemal jedynie sobie, dziś nie ma magnatów wożących z sobą setki szlachty i fraucymeru, a dzisiejszej szlachcie i pseudomagnatom brak przedewszystkiem *nervus rerum* — monety.

W obec tego naturalnie nikt dziś nie urządza owych dziesiątki tysięcy kosztujących wspaniałych balów, lecz każdy bawi się w małem kółku znajomych i czy to szlachcic, mieszczanin czy przedstawiciel inteligencji, jak piskorz się wykręca by zabawa więcej setki nie kosztowała.

I dziwić się nie ma czemu.

Lecz nie o to chodzi, niech ta zabawa i połowę tego kosztuje, lecz niech będzie prawdziwą zabawą. Niech zapanuje na niej jakaś serdeczność, jakiś duch swojski i przyjacielski, niech przy tańcu i pogadance zniknie ta zimna konwencjonalność mrożąca wszystko naokół.

A wiecie co jest tego powodem?

Oto przedewszystkiem zupełnie nierozwinięte życie towarzyskie. Ludzie sproszeni z najrozmaitszych krańców Lwowa, którzy nigdy przedtem nie widzieli się w życiu, znachodzą się raptem razem i każą im się bawić przez noc całą!

Gospodarz ma córkę na wydaniu, a chcąc ją pokazać światu, postanowił urządzić u siebie wieczorek. Lecz kogoż tu zaprosić? Prócz dwóch coś starych panien kuzynek gospodarstwa, które potem w przedpotopowych strojach figurują na kanapie i dwóch przyjaciółek panienki jeszcze z pensjonatu, nikogo z bliższych znajomych nie mają, gdyż we Lwowie nikt prawie u nikogo nie bywa. Więc następuje narada familijna z ołówkiem i karteczką w dłoni, i po wielu trudach i mozołach znachodzi się kilka panien, które spotyka się raz na miesiąc na ulicy i wita lekkiem skinieniem głowy. Pierwsze lody przełamane, gdyż żadna z nich nie odmówiła. Teraz troska o danserów. Kilku skądeślam znanych odszukał sam gospodarz, resztę musi sprowadzić kuzynek. Sprowadza też branżę jakichś powykrzywianych froterów, jakichś młodzików gołowąsych wyfryzowanych i wymonoklowanych jak lalki fryzjerskie, jakichś tajemniczych ludzi, o których żebyś sto lat za nimi chodził nie dowiedziałbyś się z czego żyją i co robią właściwie, figury jakieś straszliwie nudne, zblakowane i nieprzyjemne, a głupie! jak stołowe nogi — i zaczyna się bal!

I powiedzcie mi państwo o czem ci ludzie mogą z sobą mówić? Powiedzcie mi czy jest możliwa zabawa między tymi ludźmi, branymi niemal wprost z ulicy i spędzonymi na tańcowanie? Czy ten gospodarz, żeby niewiem jakim był człowiekiem, jak serdecznie i gościnnie starał się swych gości podejmować, zdoła zaprowadzić harmonję wśród tego spędzonego towarzystwa?

Powiecie może że przesadzam, że i ten kuzynek nieraz lepszych gości posprowadza i ci goście przecież jakoś cię bawią. Tak, bawią, bo muszą, bo komedja salonowa nie pozwala marzycielsko usiąść w kącie i spoglądać chmurno jeden na drugiego. Co się zaś tyczy owego kuzynka, to wierzcie mi, iż mimo najlepszych chęci nie zdoła on kogo innego przyprowadzić. Wszak nikt choć z cokolwiek ceniących się ludzi nie przyjdzie na zaproszenie jakiegoś tam kuzynka do domu nieznanego i nieraz mimo najszczerszej chęci zabawy odmówić musi lub wykręcić się innemi zaprosinami. Wszak to rzecz najnaturalniejsza. Zresztą wierzcie mi na słowo, gdyż widziałem dosyć tej młodzieży w wypożyczanych frakach i chowających kawałki kapłona w kieszenie paltotów.

Kto zna lwowskie baliki i przypatrywał im się, ten przyzna mi rację z pewnością.

A teraz jaki pożytek odniósł gospodarz z urządzenia tego wieczorku? Nałaził się za interesami i wydał monetę, która z pewnością rubrykę mu zrobiła. Biedna mamunia napracowała się nad urządzeniem i zaaranżowaniem balu. A panienka? Panienka marzyła o nim przez kilka tygodni, a poznała jedynie kilku drapichrustów, których znajomość i towarzystwo gdzieindziej nawet kompromitować ją może.

Ot i cała suma zysków.

Lecz jak widzę rozpisałem się już za długo, pozostawiając sobie przeto resztę refleksyj do przyszłych pogadanek, piszę się Waszym uniżonym sługą

Plotkarz.

Korespondencja redakcji.

Wny Bron. Jabl. w Burk. Rozwiązanie przyszło rzeczywiście za późno. W przyszłości jednak będą numera wcześniej dochodzić, a tem samem i rozwiązanie prędzej możebne.

Wna A. Woron. w Sam. Za późno!

Wna H. Czu. Lop. Naszem zdaniem, najlepiej, gdy pismo zawsze jednakowo wygląda. Nie każdy tak lubi zmiany jak pani. Plotkarz otrzymał pucówkę i obiecał poprawę. Za życzliwość serdeczne dzięki. Redakcja „Śmigusa“ dziś wysyle numera.

Pna El. Mal. w Tarnopolu. Ciekawość pierwszy stopień do piekła. Kilka dni cierpliwości, łaskawa Pani.

P. Karol Zd. w Kolomyi. Bardzo będziemy szan. panu wdzięczni. Prosimy o nas nie zapominać, a my o panu z pewnością nie zapomniemy również.

„Drukarnia Polska“ ulica Jagiellońska l. 16.